Ner 18.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 16 września 1842. Rok trzeci.

MODY.

Paryż, dnia 30 sierpnia 1842.

Stroje damskie. Wielkie gorąca jakie tu panują, nadają ogromną wziętość spodnicom włosiennym czyli z tak zwanej krynoliny, bo niemasz materii którąby była więcej giętka, więcej świeża i więcej wygodna w czasie upałów. Pan *Oudinot* stara się nade wszystko aby jego wyroby z czystego włosienia tkane, miały jak największą sprężystość i niepotrzebowały pomocy krochmalu. Przypominamy tu także przedziwną włosiennicę jego na obuwia, o którejeśmy przeszłym razem donieśli. Barysze, tarlatany i muszliny są jedyne materie, których używać można w tym czasie, a nawet ledwie są dosyć wygodne. Z pięknych modelów najświeższych przytoczyć możemy wyborny szarafanik z baryszu liliowego, z otwartą spodnicą, stanikiem wysokim marszczonym u ramion, z półdługiemi rękawami, zaokrąglonemi z przodu. Podwójna kardynałka nie sięga niżej przepaski, która jest ze wstążki liliowej, z wiszącemi końcami; pod spodem suknia z batystu szkockiego, ozdobiona czterma haftowanemi wolantami; rękawy w bufki kończące się podwójnym wolantem korunkowym i takowemże wyłożeniem.

Suknia z tarlatany ozdobiona u dołu czterma wielkiemi zakładkami, obszytemi małą korunką, tak samo jak i obrąbienia sukni; stanik wysoki z haftowaniami po obu stronach przedzielonemi korunką takoż jak u dołu sukni, rękawy obcisłe stosownie do stanika; rańtuch z czarnej korunki.

Suknia muszlinowa ze spodnicą ozdobioną aż do dwóch trzecich części szlareczkami z korunek indyjskich przedzielonemi wałeczkami z muszlinu; stanik wysoki marszczony; rękawy półdługie z korunkowemi wolantami; przepaska długa z wstążki zielonej; płaszczyk muszlinowy ozdobiony wkoło również jak i w otworach rękawów korunkami i rąbkiem z zielonej wstążki. Te rozmaite stroje odznaczają się prostotą i gustem, który robi największy zaszczyt tutejszym artystkom.

W Tuileriach widzieliśmy suknię z *poult-de-soie* która się nam wydała wielce gustowną. Ozdobiona była u spodnicy sześciu rzędami haftowanych falban, cokolwiek jaśniejszych od samej materii; stanik półotwarty kończasty zbierany w fałdziki; rękawy bufiaste w całej swej długości. Ten strój robił wrażenie przedziwne.

Kapelusze noszą ryżowe, ozdobione girlandą z białych marabu nakrapianych różowo i fontaziami z wstążki, równie też kapelusze z *poult-de-soie,* szmaragdowego koloru ozdobione drobnemi kwiatami, lub różą dziką i wstążką różową. Co do ubioru głowy wielką wrzawę robią w tej chwili tak zwane wiedeńki. Jest to rodzaj muszlinowych czapeczek obszytych korunkami i wstążką ozdobionych, ulatujących nad twarzą i nadających wiele powabu paryskim elegantkom.

Na zbliżającą się jesień przygotowują grodenaplowe i atłasowe płaszczyki roboty wytwornej.

Rycina dzisiejsza przedstawia: suknię z muszlinu kolorowego na dole z potrójnemi plizami, stanik półwysoki marszczony, rękawy ukośne gładkie. Kapotka jedwabna. Suknia druga fularowa, kardynałka jedwabna obszyta korunkami i kapelusz krepowy ubrany axamitnemi kwiatami. Figura trzecia przedstawia amazonkę z czarnego półsukienka z stanikiem wyszywanym.

Stroje męskie. W sukniach męskich najnowszych dają się postrzegać stany długie, a plecy po bokach krągło wycięte, tak że guziki

u stanu oddalone są od siebie na siedm centymetrów. Z resztą niezaszło nic nowego.

Rycina dzisiejsza przedstawia: kurtkę do polowania.

Kilka rysów z powieści

ADAMA GORCZYŃSKIEGO.

W wiejskim dworze w pokoju w którym kawalerski widać porządek — na stole pióra i laki, rejestra i listy, próbki zboża i xiążki, niedopalone cygara, fiiżanka z czarną kawą, tam szpicrut, tu cybuch, — siedzi młody dziedzic wioski przed zwierciadłem; pomadą pociąga po wąsach, faworyty jeszcze w swojem obwiązaniu; ale już obcisłe, jasne pantalonki nawleczone na sklnący się bucik, szelkami podciągnęły się w górę, i axamitna westka w kwiaty, wąskim kołnierza rąbkiem przylęga do wykrochmalonego półkoszulka.

Sługa z frakiem na ręku stoi za stołkiem; zaś u drzwi, brodaty kupiec na wódkę, z którym kontynuje się dyskurs, przerywany czasem zapytaniem pana do posługującego pańskiej toalecie lokaja.

— Wojtek czy się już ubrał w nową kurtkę?

— Bryczka nasmarowana?

— Po mięso posłałeś?

W drugim rogu mężczyzna drugi, wysokiego wzrostu, śniadej twarzy, spojrzenia surowego, ubrany w czamarze ze sukna, jakie widzieć na starych bilarach, zajęty jest właśnie wytrzepywaniem popiołu z fajki na podłogę.

— To mu spuść do kata ten grajcar! ozwał się do dziedzica wydmuchując fajkę.

Nieraz puścisz banknota w karty, a tu o grajcar targujesz się całą godzinę, że mnie aż passie biorą słuchać. No stary Cukier, ja tu was zaraz pogodzę! o wieleż się rozchodzi?

— O głupi grajcar, bodajem tak zdrowie miał, a WPan niechce odstąpić.

— Rozetnijcie go na dwoje i będzie zgoda.

— Na twoje słowo panie Tomaszu przystaję, odezwał się dziedzic.

— Teraz Cukrze bij w łapę i licz banknoty.

— No to ja go jutro do stopek upadnę WPana.

— A dziś się wynoś! Widzisz, tak się robią interesa, tybyś był drugą godzinę się targował z żydem, jesteś charakteru — co, co — nie umie się zdecydować! Coż u kata? kiedyż skończysz to smarowanie wąsów? Twój Wojtek prędzejby bryczkę nasmarował.

Zrzuć te bandaże z twarzy, wyglądasz jakbyś wracał z jakiej batalii.

Aj jakąś nową kamizelkę widzę u jegomości! Kulczycki wyciągnął obywatelowi znowu kilka reńskich z kieszeni.

— Daruj, ale jak widzę nie znasz się nakamizelkach, dałem za nią 5 dukatów, przypatrz jej się zbliska. A co nie piękna?

— Pięć dukatów!! na honor przedałeś 200 garcy wódki na tę kamizelkę, a tobyś był wolał kupić sobie Słownik Lindego, o którym zawsze gadasz, albo sprowadzić pasztet straszburski, coby było jeszcze mądrzej, ależ doczego tak się stroisz? przecież we fraku nie pojedziesz na wizytę?

— A jakże inaczej?

— Nie bądźże parafianinem, weź tużurek, albo *summum* rajtrok, to będzie *noble*, na wsi występować we fraku! czyś oszalał?

— Ależ mój kochany, w niedzielę tam bywa wiele osób.

— I dla tego chcesz wystąpić po parafiańsku! na honor jak żyję nie miałem fraka na sobie.

— Tobie i komu innemu toby uszło, ale mnie nie wypada, mogliby to wziąść za jakieś lekceważenie ich domu, toby mogło popsuć moje interesa.

— Jeszczem tego nie słyszał, ażeby komu, mości dobrodzieju, miał zepsuć interes *rajtrok*, ale sam musisz wiedzieć najlepiej, czyli ta panna Barbara, czy jak tam? jest tak delikatnego żołądka, że tużurka nawet strawić nie może.

— *Je vous prie ne parler pas devant les gens* o takich rzeczach, zagadał Karol.

— Dobrze, dobrze, już ani słowa niepowiem a ty wystąp sobie dzisiaj w niedzielę w nowej kamizelce i fraku jak student.

— Jeszczem się nie zdecydował.

— Nie mówiężto zawsze, że jesteś charakteru niedecydującego się; ja na miejscu twojem uparłbym się mości dobr., i na złość wziąłbym frak, i dotego, na honor, czarny.

— Antoni, wiesz co, przemówił dziedzic, dostaniesz mi rajtrok i każesz zaprzęgać.

— W szory czy w chomonta? zapytał sługa.

— Zapewnie że w szory, zadysponuj!

— Co znowu w szory? rozśmiał się pan Tomasz.

— Albo poczekaj mój Antoni, każ ubrać konie w chomonta.

— Aj niedeterminowany z ciebie człowiek! rzekł pan Tomasz, nakładając fajkę.

— Być może w małych okolicznościach, odezwał się dziedzic.

— A jakież to są wielkie okoliczności? zapytał szydersko tamten, i potarł po ścianie patyczkiem zapałkowym.

— O, bywają w życiu człowieka okoliczności o których ani się śniło filozofom, ozwał się dziedzic; po chwili dodał: ależ mój kochany, prawisz mnie ciągle o tym charakterze, mówże mnie, co to jest charakter?

— Co jest charakter? powtórzył p. Tomasz poprawiwszy czuba, kontent z tego popisu swojej wymowy, która nie wiedzieć zkąd płynęła mu do ust. Charakter jest to, mości dobrodzieju, postępowanie człowieka, zawsze z zasadami raz przyjętemi zgodne; człowiek charakteru, mości dobrodzieju, rzecz rozważy, poweźmie zdanie, i wraz co ma robić postanowi, a skoro raz co postanowi, to żeby tam, mości dobr pioruny biły, nie zachwieją jego zdaniem, ani postanowieniem, a ponieważ dobry p. Karol (który *notabene* źle gra w wiska) zdecydował się wziąść frak na wizytę do pani Korelskiej, a na jedno moje słówko, nawiasem rzucone, zdanie odmienił i w rajtroczku, dobrym chyba do konnego spaceru, prezentować się będzie pannie Barbarze dnia dzisiejszego, *ergo* mości dobr. wnoszę: że p. Karol niema stałego charakteru.

— Żebym ci pokazał, otoż na swojem postawię.

— Odmienisz postanowienie i frak wezmiesz?

— Na złość tobie w rajtroku pojadę.

— Mnie na złość? kiedy ty słodziutki Karolku nawet gniewać się nie umiesz, mówił p. Tomasz wtenczas kiedy p. Karol wciągał na rękawy obcisły krągło wycięty fraczek, którego krajem obiegał szereg świecących guzików.

Ale wypada może przypatrzyć się bliżej wprowadzonym na scenę osobom; zaczniemy od p. Karola. Zdawać się może, że natura w swoich utworach tak rozmaita, sama charakteryzuje ludzi, dając jednemu twardy rdzeń dębu, drugich z tak miękkiego formuje ustroju, że jakkolwiek bujnym wystrzelą wzrostem, grubą czy gładką powleką się korą, będą zawsze słabem tylko na świecie drzewkiem, nachylającem się do woli każdego uderzającego nań wiatru. W pierwszym życia poranku, będzie to matki ręka, która tę gibkę latorośl naginać zapragnie do formy swoich nałogów, uprzedzeń, czasem i kaprysów, a tem naginaniem często powtarzanem, osłabi zawiązującą się wyrastającego młodziana wolę; ta staje się w końcu istną kolebką, do której kołysania będzie zawsze jakaś ręka na podorędziu.

Takiego ustroju był p. Karol; młody, powierzchownie miły i przystojny człowiek, skończywszy edukacię, nie gardził xiążkami, czytał równie chętnie encyklopedyczne dzieła, tylko że pług wiadomości nigdy głęboko nie zarył się w jego pamięci a na miękim umysłu jego gruncie płytko naznaczone brózdy zapływały równie łatwo, dzieło uprawy nie bywało dokonane.

Po rodzicach jedynak był dosyć bogatym. Niewielka fortunka w rękach dziadka, pielęgnowana przez ojca rozrosła się w drzewo okazałe, które w końcu pod swoje ramiona podgarnęło trzy piękne, intratne wioski; pan Karol był z resztą łagodnego charakteru i pełen litości i dobroci, która wszelako nie była skutkiem przejęcia się niedolą bliźnich, skutkiem nareszcie tej przez sam rozum poznanej potrzeby zrównania nierównie między ludźmi rozdanych darów, któreto przekonanie zniewala nas nawet do szukania nędzy, aby ją odziać, nakarmić i pocieszyć, nie, litościwość jego, miała swoje źródełko w cichym serca zakątku; na każde zakołatanie, chętnie otwierała się i hojnym nawet strumieniem płynęła, ale też równie łatwo obca ręka zimna, dobroczynny strumień wstrzymać, źródło zamknąć mogła: bo serce Karola dało się otwierać i zamykać wedle natchnień obcych.

Chociaż z natury oszczędny, nie rzadko na głos świata roztwierał na oścież drzwi rozrzutności, stosując się do ludzi gustu, z którymi żył; modzie i próżności częste dawał cerografy na swoim majątku; a lubo niechciwy, sknerstwo nie było wadą wrodzoną jego, przecież i ta rdza przylgnęła natenczas do niego, jeżeli przez czas dłuższy poddał się wpływowi nieczystej atmosfery, jaka otaczała go wchodzącego niekiedy w towarzystwo ludzi egoizmu. Zresztą łódka jego życia młoda, nie obciążona balastem troski, żaglem pomyślnością wydętym popychana, płynęła cicho i swobodnie za pędem niosącej ją wody, naginając się do nagięć łożyska, które trawką ozielenione po brzegach, zdawało się mieć miękie piasku wysłanię.

Azali wytrzyma próbę skały, gdy wiatr gwałtowny w nią uderzy? przyszłość okaże.

Od czasu śmierci ojca—matkę w dziecińśtwie swojem opłakał — mieszkając na wsi, poznał w jednym z sąsiednych dworów, p. Barbarę; wnet zawiązało się w jego sercu przywiązanie do osoby celującej urodą i wykształceniem, z któ-

rego przywiązania zaczęła się wysnuwać myśl i pragnienie do stowarzyszenia z nią życia.

Pan Tomasz, druga w naszej powieści pojawiona figura, byłato człowiecza bryła, z której nie udało się żadnemu stukmistrzowi zrobić użyteczną towarzystwu istotę. Bryła ta tak w życiu swojem uderzyła nie o jeden sęk przeciwności, pootrącała z siebie niektóre ostrej nieforemności końce, z tak twardego jednak była kruszcu, że lubo i w dalszym biegu po ziemi ocierała się o ludzi, to raczej wybijała na drugich swojej chropowatości znamie, sama nie gładząc się bynajmniej.

Nie bez tego ażeby w tej bryle nie było żyłki szlachetniejszego metalu; ta chociaż w stanie surowym i nieużytecznym, błysnęła niekiedy w oczy świata, a tem podbijała tylko w dumę jej posiadacza.

Powierzchowność p. Tomasza niebyła zniewalającą, postawy wysokiej, chudego ciała. Jego twarz surowego wejrzenia miała cerę śniadą, wąsy dużym snopem spadały na wargi, zakrywały usta. Oczy jego zwykle na dół spuszczone nieznały tylko uśmiech szyderstwa. Jakiś wyraz zimnej stoiczności charakteryzował jego w przeciągłe fałdy pomięte oblicze, widziano go, jak bez żadnej zmiany na twarzy zadawał rany, szarpał sławę mężczyzn, gotował się na zabicie cnoty albo sławy niepokalanego imienia kobiety, sam w puklerzu zimnego serca, miedzianego czoła od każdego nań skierowanego pocisku, krzyżową wymowy sztuką umiał się wyrąbać, owszem zapaśnika zawsze zwyciężył, na ziemię zwalił, jeszcze śmiesznością zarzucił, przydeptał pogardą; a sam wznosił się na coraz wyższy szczebel zarozumiałości o swoim rozumie, sile wymowy i wrodzonych do wszystkiego talentach, lubo do tej zarozumiałości najmniejszego nie miał tytułu, nie posiadał bowiem zasług żadnych, krajowi piórem ani orężem nie służył; bez talentu, bez gustu nawet do sztuk pięknych i szlachetnych. Obraz był dla oczu jego jakąś szarą plamą na ścianie. Muzyka czyniła na nim wrażenie podobne do zgrzytu pilnika po szkle, a xiążki leżące na stole, na którym wiska grać można, chętnie by przyrównał do kamieni, co na drodze zawadzają jadącym.

Pan Tomasz nareszcie był jednym z tych, co nie sieją, nie orzą, w biurze ani przy warsztacie nie siedzą, a żyją, i żywią się. Żywi ich gościnność, która jak bocian starożytnej lipy, trzyma się zawsze szlacheckich naszej ziemi dworków. Ta gościnność dzisiejsza, wnuczka staropolskiej onej gościnności, lubi się czasem i w modną przystroić sukienkę, to wszelako rzuciwszy okiem na portret nieboszczki jej babki (na gwoździu tradycii w naszej pamięci wiszący) dostrzeżesz niejakie twarzy podobieństwo. Rysy niemal te same, tylko u nieboszczki naznaczone więcej wyrazisto i wydatnie, tylko że tam szczerość wyskakuje z oka, z ust się wylewa pełnem wymowy łożem, tutaj równie może szczera i chętna spokojniejszem jednak przemawia wejrzeniem, usta ma uśmiechające się, ale nieme; tylko że na obrazie w pamięci naszej zachowanym, wymalowana gościnność wybiega na ganek, z otwartemi rękami, dziś widzimy ją w spokojniejszej pozycii, czekającą gościa w salonie, a czasem postrzegającą go dopiero po skończonej przy zielonym stoliku partii.

Dzięki tej gościnności p. Tomasz nie naciągał struny swoich żądań do tak wysokiego tonu, aby o własnym domie zabrzmiały kiedy jego myśli, pod obcym dachem zasypiał swobodnie, dziś pod gościnnym dachem p. Karola, z którym zrobił znajomość przed kilką miesiącami przy wiskowym stoliku.

Było to na końskim jarmarku w M....; pan Tomasz żadnego nieopuścił jarmarku Jarmark był właściwem do jego gustu polem, lubił bowiem dyskę, szklankę, i pogadankę; a gdzież lepiej się wygadać? gdzież smaczniej pić pończyk albo wino? gdzież swobodniej zabawić się z królem faraonem, niż na jarmarku?

Tutaj umiał p. Tomasz podnieść swoją osobę do dyktatorskiej powagi, z jaką o oprowadzanych po rynku koniach wyrokował. Tu drugi Robespierre jednym słowa zamachem potępił bez braku, stajnię całą, wieleż to biednych zwierząt szlachetnego rodu skazał pan Tomasz na kalectwo, na śmierć przez kulkę w łeb!

Zdarzyło się że pan Karol przysiadł się do partii wiska, która w swojem kole miała pana Tomasza.

Złajany, sfukany, musiał słyszeć stokrotne słowem honoru zaręczenie: że niema najmniejszego nawet wyobrażenia o grze *Hoila;* płacąc przegrane punkta panu Tomaszowi zadziwił się niepomału, kiedy ten zagadał go niego w ten sposób.

— Pan daleko gdzieś mieszkasz w Stryjskiem czy w Samborskiem to nic, na dobry obiad a nie złe wino, to ja mości dobrodzieju i dziesięć mil pojadę, *notabene* kiedy mnie gospodarz zaprosi; mnie znają, mości dobr. sam się nie wciskam do nikogo a kiedyż pan pojedziesz?

— Niewiem dobrze, ale może jutro wyjadę, odrzekł Karol.

— No to ja jadę z panem, *notabene* jeźli pan mnie zaprosi, bo ja mości dobr., mnie znają; to pan jutro jedzie, pewnie? niema co tu robić, nie obaczysz jednego uczciwego konia, same kaleki.

No jakże kiedyż jedziemy? powtarzał pytanie Tomasz, pan sobie sam mieszka? kawaler? niema jak kawalerskie życie — to ja lubię, mnie znają, będziemy sobie bałakać, ćmić fajkę, a jak się kto trafi, to sobie mości dobr. utniemy wiseczka z szturmem i koniec.

— I owszem, odrzekł na to pan Karol, sam mieszkam, będzie mnie przyjemno.

— Bez tych ceremonii. ja tego nie lubię, a gdzież pójdziemy na obiad?

Taka była instalacia pana Tomasza do domu Karola, w którym nadspodziewanie znalazła się kuchnia wykwintna, kawa dobra, wina, araku na zawołanie, tytuniu zawsze świeży zapas, a przytem nie rzadko i partia wiska, słowem wszystkie życie pana Tomasza składające elementa.

Z pierwszej sceny widać że pan Tomasz daleki od tego, ażeby gościnnemu pochlebiał gospodarzowi, owszem dostrzegłszy w nim natnrę giętkiego i snadno nachylającego się drzewka, wnet ku swojej woli naginać go począł, a w końcu siłą wymowy, której decydującym zawżdy tonem, każdą rostrzygał kwestyę, umiał zaszczepić w łatwowiernym Karolu, jakieś wysokie o sobie mniemanie, ustalić wiarę w trafność i niemylność zdania swego, że dobry Karol nie tylko w ważniejszych zdarzeniach, owszem w potocznych nawet uciekał się zawżdy do gościa swojego po radę, i tej gwoli nakłaniał swoją decyzyę.

W tak korzystnych z gospodarzem domu zostając stosunkach umiał p. Tomasz obracać je na na swój pożytek; owszem drzewko żądań jego przy tak przyjaznej pogodzie rozgałęziało się i rosło coraz w górę; w końcu, w myślach pana rezydenta zarysował się plan większy o ustaleniu koczowniczego życia w tym upodobanym sobie domu zamyślał.

W tym czasie okoliczność nowa zaczęła mieszać jemu szyki, dmuchać na ten pięknie ukartowany projekt, groziła tegoż zupełnem obaleniem; ztąd jego zepsuty humor, mowa opryskliwa w scenie tej powieści pierwszej, kiedy ubierającemu się przyganiał Karolowi. Okoliczność zaszła ta, że p. Karol zamyślał się żenić.

Jakby pokrzywa albo chwast dziki, nie rad patrzył na rękę ogrodnika sadzącą róźę i przeczuwał, że grządka gdzie ten kwiat się rozwinie z chwastu oczyszczoną zostanie, podobne następstwo przewidywał — takiego losu obawiał się nasz Tomasz, a własny pożytek mający na celu, wziął przed się przeszkodzić temu, biorąc na wagę myśli stan rzeczy, zadecydował projekt p. Karola podkopywać zręcznie iżby w swoim czasie sam runął.

Skończywszy moje sylwetki składam nożyce, do ręki scyzoryk biorę, którym pragnę zaostrzyć — nie ciekawość czytelnika — nie, tylko pióro powieści, przytępione ciężko prowadzącą je ręką.

Dokończenie nastąpi.

SZCZĘŚLIWY CZŁOWIEK.

Z angielskiego.

W ogrodzie tuilerskim znajduje się pewny oświecony słońcem kątek, pod zasłoną tarasu zwróconego ku południowi. Wzdłuż tarasu stoją rzędem poustawiane ławki panujące wyżynom całego ogrodu. Wyborny ten kątek, bywa bardzo wygodnym do przechadzki w późnej jesieni i w pięknych dniach zimy: gdyż zdaje się jakoby zatrzymywał dłużej od miejsc innych żegnające nas ciepłe dnie lata. W pogodny jasny poranek zapełniony zwykle bywa przez niańki karmicielki, wraz z igrającym malutkim ich ciężarem, drobnych dziatek. Tu także spotkać można większą niż gdzie indziej liczbę poważnych dam i gentlemanów, którzy z chwalebną skłonnością używania małych przyjemności z małym kosztem, czem Francuz się odznacza, zgromadzają się w tem miejscu aby zachwycić promieni słońca i oszczędzić opału. Tu też często widzieć się daje nie jeden podtatusiały szarmant dawnej szkoły i gdy dobroczynne słońce rozgrzeje krew jemu do pewnego stanu błogości, kręcą się na wzór przemarzłych mólów przed ogniem, rozrzucając tu i ówdzie lekkie oznaki galanterii pomiędzy znajome damy, i od czasu do czasu spoglądając na karmiące mamki z miną którąby fałszywie wziąść można za oznakę libertynizmu.

Pomiędzy zwykłemi gośćmi tego miejsca, dostrzegałem często pewnego starego szlachcica, którego ubior był decydująco antirewolucyjnym. Nosił on trójrożny szpiczasty kapelusz z *ancien regime,* włosy jego były utrefione nad każdym uchem w *aile de pigeon.* Szaty jego chociaż w staroświeckim kroju, nosiły cechę podupadłej świetności i dostrzegłem że zażywał tabakę ze

złotej, chociaż także staroświeckiego kształtu tabakiery. Zdawał on się tam najznajomszym ze wszystkich uczęszczających do tego miejsca gości. Miał w pogotowiu komplement dla każdej ze starszych dam, każde dziecko musiał pocałować w rumiane policzki, a każdego pieska po łebku pogłaskać: gdyż dzieci i małe pieski są to zbyt ważne członki każdego towarzystwa we Francii. Jeszcze dodać muszę, iż rzadko trafiało mu się aby pocałował które dziecko nieuszczypnąwszy przytem w kark jego niańki; Francuz dawnej szkoły niezapomina nigdy obowiązków swoich względem płci pięknej

Powziąłem jakąś szczególną skłonność do starego szarmanta. W twarzy jego znajdował się pewny wyraz dobroduszności, jaki często dostrzegałem w tych relikwiach świetniejszych dni Francii. Nieustająca zmiana owych tysiącznych drobiazgowych grzeczności, które niepostrzeżenie osładzają życie, wywiera szczęśliwy wpływ na rysy twarzy i rozlewa słodki, łagodny wdzięk wieczora na zmarszczki starości.

Gdzie zachodzą przyjazne usposobienia, rychło przychodzi do pewnego rodzaju zaprzyjaźnienia się i poufałości między osobami, które się co dzień na jednej zdybują przechadzce. Parę razy usunąłem mojemu Francuzowi miejsca na ławce, poczem uchylaliśmy kapelusza przechodząc obok siebie, a wreszcie zaszło tak daleko, iż po kilkakroć z jednej zażywaliśmy tabakiery; odtąd ustaliła się znajomość nasza.

Stałem się wkrótce zwykłym towarzyszem jego rannych przechadzek; i nieraz serdecznie ubawiły mię wesołością, dowcipem nacechowane uwagi jego nad terazniejszemi ludźmi i obyczajami. Jednego poranku, gdyśmy się przechadzali po jednej z ulic ogrodu Tuileriów, przy jesiennym wietrze który potrząsał zżółkłemi liśćmi ścieszkę naszą, towarzysz mój wpadł w nadzwykłą wenę poufności i udzielił mi niektórych szczegółów z życia swego. Był on niegdyś bogatym i posiadał pyszny pałac w Paryżu, „lecz rewolucia, która, jak się wyrażał," tyle okropnych zmian zdziałała, ogołociła go ze wszystkiego.

Przez własnego marszałka tajemnie denunciowany, w krwawym periodzie rewolucijnym już widział tłum krwi chciwego pospólstwa otaczający pałac jego; lecz prywatne doniesienie ocaliło go w samej krytycznej chwili. Uciekł w sam czas i udał się do Anglii bez pieniędzy i przyjaciół, lecz mając się za szczęśliwego, że ocalił głowę swoją, gdy tylu innych z jego przyjaciół i sąsiadów zostało w tym czasie gilotynowanych za to, iż byli bogaci.

Gdy przybył do Londynu miał już tylko jednego luidora w kieszeni bez żadnej nadziei zyskania drugiego. Zjadł samotnie obiad, składający się z bifsztyku, i o mało co nie został otruty winem *porto,* które dla koloru wziął za *klarck.* Brudna postać lichej gospody i małej okopconej izdebki, w której mu zastawiono skromny posiłek, smutną stawiły mu sprzeczność z wesołemi salonami Paryża. Każdy przedmiot wydawał mu się posępnym i zniechęcającym. Ubóstwo zajźrzało mu w oczy; przerzucił w kieszeni te kilka szelingów które mu zdano z luidora; sam nie wiedział co się z nim stanie i — poszedł na teatr.

Zająwszy miejsce w parterze, począł przysłuchiwać się z uwagą tragedii, której ani słowa nierozumiał; przesuwały się tylko, jak w panoramie, przed okiem jego rozmaite sceny walk, zabójstw i zmian dekoracii, nakoniec uczuł w sobie szczególne zniechęcenie i smutek, gdy rzuciwszy przypadkowo spojrzenie na orkiestrę, (jakież było zdziwienie jego!) rozpoznał rysy starego przyjaciela i sąsiada w jednym z muzykantów, nadymającego się właśnie wydobywaniem głosu z olbrzymiej wiolonczeli.

Po skończonem widowisku zbliżył się do przyjaciela i uderzył go zlekka po ramieniu; nastąpiło poznanie, pocałowanie się wzajemne, z obu stron policzek, a muzykant wziął go z sobą do domu swego i podzielił z nim własne szczupłe mieszkanie. Uczył on się niegdyś muzyki, a to dla towarzyskiej uprawy; dziś radą przyjaciela użył jej jako sposób utrzymania się. Kupił sobie flotrewers, ofiarował się do orkiestry, został przyjętym, i znów uważał się za najszczęśliwszego pod słońcem człowieka. Tak przeżył lat wiele w czasie potęgi straszliwego Napoleona. Spotkał w Londynie wielu z emigrantów utrzymujących się tymże co i on sposobem, przez użycie talentów swoich. Połączyli się wspólnie, rozmawiali z sobą o Francii i dawnych czasach, i usiłowali zjednać sobie choć pozór paryskiego życia wśród Londynu.

Obiadowali razem w mizernej francuskiej traktierni w pobliżu *leicester square,* gdzie przyjmowano ich karykaturę francuskiego kuchmistrzostwa; przechadzali się zwykle w *St. James park* usiłując przenosić się myślą do Tuileriów; jednem słowem, przywykli wkrótce do wszystkiego, tylko obchodzenie niedzieli *à l'anglaise,* było im nieznośne. W istocie stary szlachcic nie miał